

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

Jubileusz Kazimierza Promyka.

Mało który z pisarzy obrał sobie pseudonim tak słuszny i trafny, jak Konrad Prószyński, (Kazimierz Promyk). Przez wynalezienie nowego sposobu nauki czytania, przez swój „Elementarz“ a potem przez wydawanie pisma dla ludu wiejskiego „Gazety Świątecznej“ stał się istotnym promykiem dla niego na słoneczną drogę oświaty.

W tym roku właśnie upłynęło ćwierć wieku, odkąd rozpoczął wydawanie swojej gazety. Społeczeństwo polskie korzysta z tej rocznicy, aby wyrazić wdzięczność zasłużonemu działaczowi i we właściwy sposób uczcić ten jubileusz.

Życie tego dzielnego pracownika było równie ciche i skromne, jak on sam. Urodzony w r. 1851 w Mińsku litewskim, jako młody jeszcze chłopiec, wyjechał na wygnanie z ojcem, zesłanym do Tomsku. Pracował tam w założonym przez ojca zakładzie fotograficznym, uczył się i tęsknił do kraju rodzinnego.

W r. 1870 powrócił do ojczyzny, po dwuletniej nauce złożył egzamin dojrzałości i wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończył ze stopniem kandydata w r. 1876.

Nie poświęcił się jednak prawu.

Już podczas studiów uniwersyteckich przejął się miłością do ludu. Na wakacjach w pe-

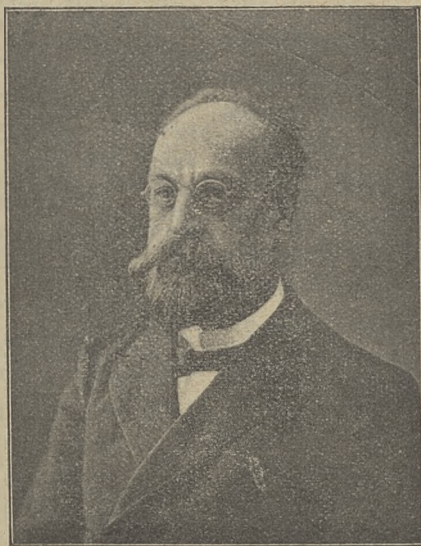
wnej wsi w Grójeckiem uderzyła go ciemnota otaczających włościan, zapragnął jej zaradzić doraźnymi środkami. Więc na białej ścianie jednej z chat maluje wielkie kolorowe abecadło. Tłumy mieszkańców gromadzą się przed barwnymi dziwolągami, które pod wpływem malarza zmieniają się wkrótce na litery, zrozumiałe dla garnących się do niego chłopów.

Młodzieniec znalazł swoje powołanie. Z obranej drogi nie zбочy już w dalszym życiu; owszem, będzie ją udoskonalał, aż dojdzie do rezultatów zdumiewających.

Nazywa sam siebie skromnie „Promykiem“, i pod tem mianem wydaje w roku 1875 swój elementarz, w którym stosuje po raz pierwszy własną, nową, dźwiękową metodę nauki czytania, bez uprzedniego sylabizowania, metodę, która dziś już stanowi święci zwycięstwa w pedagogice, podług której większość naszych czytelników zapewne uczyła się czytać.

Elementarz zyskał sobie niepospolite uznanie, bo rozeszła się doń osiemset pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy tej nad wszystkie pożytecznej książki. A „Nauka obrazkowa czytania i pisania“, wydana po raz pierwszy w r. 1879-ym, rozeszło się w stu tysiącach egzemplarzy.

Książeczki wędrują w świat, pedagogicy radzą o nowej metodzie i nie szczędzą jej słów



Konrad Prószyński.

uznania, ale ogół społeczeństwa niewiele wie o znakomitym nauczycielu i przyjacielu ludu. To też prawdziwym odkryciem było dla wielu broszurka p. Adama Szymańskiego, zatytułowana: „Najlepszy elementarz świata“.

Autor przytacza tam ciekawy fakt następujący: Przed kilkunastu laty Towarzystwo pedagogiczne w Londynie postanowiło rozstrzygnąć kwestyę, jakim dzieciom na świecie najłatwiej jest uczyć się czytać. Do rozwiązania zabrano się dokładnie, ściśle „po angielsku“. Wysłańcy towarzystwa zbierali po świecie całym elementarze; z pośród tysięcy wybrano kilkaset najbardziej rozpowszechnionych; po gruntownym krytycznym zbadaniu uznano za najlepszy elementarz Promyka i przyznano mu nagrodę Towarzystwa. Społeczeństwo polskie, dzięki Anglikom, dowiedziało się, że na całym świecie najłatwiej nauczyć się czytać dzieciom polskim.

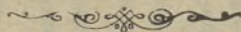
To było tylko wstępem do pracy Promyka; aby ogarnąć tłumy, cały ogół ciemnych, potrzeba było innego środka. Promyk znalazł go w *Gazecie Świątecznej*, którą zaczął wydawać w roku 1881, zwalczając wytrwale nieprzeparte prawie przeszkody. Chciał, żeby słowo drukowane, któremu lud tak wierzy, zasługiwało na takie zaufanie; chciał, żeby każde zdanie, każdy wyraz, rzucony tym umysłem wrażliwym, a żadnym wiedzy, był rzeczywiście pokarmem, nie pustą plewą.

Promyk nie przestawał szukać i zachęcać ludzi do wielkiej pracy, której nie mógł sam podołać. Ogłaszał konkursy w nadziei, że tą drogą odkryje jakieś siły, zdolności odpowiednie. Ale wyniki konkursów zawodziły. Nie rozumiano na razie ważności tej pracy. Trzeba było zaiste wielkiej wytrwałości, żeby się obywać zupełnie bez uznania i poparcia. Wytrwałości tej nie brakło „pisarzowi“ *Gaz. Świąt.*

Nie odejmując rąk od pług, może dziś z chlubą spojrzeć na niwę przez siebie uprawioną: tyle na niej bujnych kłosów wyrosło, tylu światłych ludzi przysporzyła krajowi „Gazeta Świąteczna, tyle serc uderzyło teraz uczuciem wdzięczności z powodu 25-lecia owocnej pracy Pisarza „Gazety Świątecznej“, tyle głosów dziękczynnych z pod strzech włościańskich się odzywa!

Temi wymownemi słowy określając zasługi Konrada Prószyńskiego, wzywa ks. Jan Langier, znawca naszego ludu — do upamiętnienia jego jubileuszu jakimś trwałym czynem w dziedzinie oświaty ludowej. I my przyłączamy się do tej myśli i, jak tylko utrwali się właściwy projekt, podzielimy się tą wiadomością z czytelnikami „Wieczorów Rodzinnych“, aby ra-

zem z całym ogółem wzięli udział w wyrażeniu wdzięczności i stwierdzeniu uznania dla Kazimierza Promyka.



Wspomnienia z lat młodości.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

5. Tuczapy -- Mołozow.

Rano skoro świt zbudzono nas, ale nie świstkami tylko tak z ręki jeden drugiego i zaraz na czezo ruszyliśmy z miejsca.

Dziwny to był marsz, co chwila stawaliśmy, schodziliśmy z drogi to na prawo to na lewo, to znowu przylatywali nasi władni z raportami i coś mówili oficerom, przed nami i z obu stron po bokach ciągnęły razem z kolumną rzadko rozstawione łańcuchy tyraljerów; nareszcie doszliśmy do skraju lasu. Nie kazano nam się wysuwać, broń Boże, na pole, ale kazano, nie dochodząc do samego brzegu, położyć się i leżeć, broni jednak nie ustawiać w kozły, lecz trzymać przy sobie na pogotowiu.

Za pozwoleniem podoficera, ja i paru kolegów ostrożnie posunęliśmy się na sam brzeg lasu, żeby się rozpatrzeć w pozycyi. Przed nami tedy w odległości paru wiorst, widać było wieś, jak się potem okazało Tuczapy, my zaś, rozłożeni byliśmy w występie leśnym, jakby krótkim półwyspie wrzynającego się w pole lasu. Na lewo pole zagłębiało się w las rozwartym półokręgiem, na końcu zaś widać było drugi występ wrzynającego się w pole lasu.

Ponieważ staliśmy za słońcem, więc doskonale było wszystko widać, i zaraz zauważyliśmy błyski i migotania szerokich bagnietów Galicyan, a mnie przyszło na myśl, że w partyzantce broń powinna być koniecznie bejcowana na szaro, żeby była matowa a nie błyszcząca, gdyby bowiem na naszym miejscu był nieprzyjaciel, równieby dobrze jak my ich zobaczył.

Naprawo, pod słońce las umykał się w tył, na końcu tego horyzontu majaczyły zielone łąki i krzaki, z frontu zaś przed nami pola uprawne, dobrze już zarunione, jaśniały pszenicą i ciemniejszym żytem. Czuć było jakoś proch w powietrzu, ale humory były doskonałe.

Dogryzaliśmy wczorajszych zapasów; M... pogwizdywał z cicha wcale nie zabity, ani nawet ranny, mimo swoich przewidywań; dowcipy sypały się jak zwykle i zupełnie zapomnieliśmy, gdzie jesteśmy i na co czekamy, tak nam było jakoś wesoło i dobrze. Wtem ni stąd

ni zowąd usłyszeliśmy nad głowami nawet nad lasem dobrze już znany ostry świst idącej sztychem kuli. Strzał jednakże wyraźnie padł bardzo daleko, gdyż pod wiatr zupełnieśmy go nie zauważyli.

Nasz Piasecki a i z innych plutonów podoficerowie podsunęli się na brzeg lasu, jednak wrócili po chwili, mówiąc, że to zapewne komuś wypadkiem wypaliło, gdy tymczasem z lewego cypla lasu, obsadzonego przez Galicyan, zaczęły się sypać strzały, z początku rzadko, potem gęściej, a przytem i z nieprzyjacielskiej strony zagrały karabiny, wyraźnie odróżniające się od naszych grubszym basem i dźwięczniejszym tonem. Ich bowiem niebieskie „dzwonki“, jak ich nazywaliśmy, dłuższe, grubszego kalibru, z cieńszymi ściankami luf, znacznie się tonem od naszych belgijskich karabinków różniły.

Nasze Belgijczyki, w które dotąd tylko owi Galicyanie byli zaopatrzeni, były krótkie, sześciokątne więcej niż do połowy lufy, małego kalibru, o grubych ścianach luf. Kulka była długa, a ilość prochu w ładunku proporcjonalnie do wagi kuli znacznie większa niż w rosyjskich karabinach. Kulka była pełna, a mimo to choć w lufę wraz z ładunkiem wchodziła lekko, na wystrzelonej kuli wyraźnie było znać głębokie rowki od gwintów.

Słowem kształt ładunku przypominał obecnie do expressów używane. Na końcu lufy umieszczony bagnet szeroki, płaski, długi, do tasaka podobny. Na niektórych bagnetach z jednej strony była nacięta piła dla robót saperskich.

Wizier był półokrągły, dość niski. Karabiny te były bardzo daleko i celnie, ale na dalšie zwłaszcza odległości trzeba było bagnetu zdejmować, gdyż ciężyły i zwracały lufy na bok. Huk strzału suchy, twardy, ucięty, a ton wysoki.

Wskutek tego nawet z daleka doskonale było można odróżnić, z której strony więcej strażów pada.

Tak więc wkrótce zauważyliśmy, że siły nieprzyjacielskie znacznie przeważają. Oprócz nader gęstego tyralierskiego ognia, od czasu do czasu odzywało się jakby trajkotanie ciągłego łańcucha, trzask plutonowych ogni. Jednakże, ile razy ogień ten zbliżał się do nas, (a nieprzyjaciel atakował z lewej strony), to wtenczas do rzadszego ognia karabinków mieszał się różnorodny gęsty trzask dubeltówek i pojedynków, a zaraz potem owe basy cichły.

Przed nami doskonale widać było, jakby małe wybuchy kurzu z pomiędzy zielonej pszenicy, a czasem i po gałęziach zawarczało. Wszystko to były zgórowane kule, widocznie w pośpiechu w kierunku księżycy wystrzelone,

które zakreśliwszy olbrzymią paralełę, aż do nas dolatywały,

Trwało długo takie mocowanie się, które nieprzyjaciel przypłacił, gęstym trupem ścieląc owe ataki i cofania się. Armat wciąż słychać nie było, nas to gniewało: odzywały się głosy: „czemu oni na tych dudach nie zagrają, byłoby choć czego posłuchać, a tak też po próżnicy i ziewaj.“

Ale starsi żołnierze widocznie z tego byli niezadowoleni, a porucznik coś szeptał z podoficerami. Przeczuwali bądź atak z drugiej strony, bądź jakąś zasadzkę.

Myśmy wprawdzie nie wiedzieli, ale potem dowiedzieliśmy się, że do tego oddziału, który nas atakował pod Tyszowcami, a był złożony z dwóch rot piechoty, sotni kozaków i dwóch armat, dołączył się drugi: cztery rot piechoty, szwadron huzarów, dwie sotnie kozaków i dwie armaty liczący, tak że razem wzięte siły nieprzyjacielskie znacznie przewyższały nasze.

Aleśmy się o tem szczegółowo dopiero znacznie później dowiedzieli.

Jakby tam nie było wszyscy się ucieszyli, gdy nareszcie zahuczały armaty, których nieobecność wszystkich nas niepokoiła. Stały one trochę bliżej nas, nawprost owego cyplu, osadzonego przez Galicyan, a że tymczasem słońce obróciło się już tak, że przed lasem była szeroka smuga cieniu, więc widzieliśmy ich doskonale, jak na dłoni, kiedy zajeżdżali galopenem w półkola, potem odjeżdżali z końmi w tył, nareszcie biegali koło tych armat, a potem buchnęło raz! dwa! Wnet potem olbrzymiem echem odezwał się las, zawyły granaty, a jednocześnie pamiętam doskonale, że dwie długie smugi dymu, które buchnęły w naszym kierunku, zamieniły się w kółka, a te zwolna się rozszerzając, płynęły w powietrzu ku nam. Wkrótce z lewej strony przybiegło do nas kilkudziesięciu Galicyan, i ci zaraz, po długim ustawianiu wizierów, ku owym armatom ogień skierowali; grało także i kilkanaście karabinów pod Tyszowcami zdobytych.

Ja, stojąc za ogromną sosną, z niezmierną ciekawością patrzyłem na owe armaty, które jakby nie zwracając uwagi na nas, w dalszym ciągu w pierwotnym kierunku ku owej naszej głównej masie pracowały. Za to zauważyłem, jak jakaś długa czarna linia na skraju horyzontu wyraźnie się na zielonem tle pół odcinająca, zaczęła z początku zwolna, a potem coraz prędzej ku nam się przysuwać. W jednej chwili zameldowałem o tem podoficerowi, a ten jakimś panu, który na pięknym gniadym koniu w tej chwili do nas kłusem podjeżdżał.

(d. c. n.)

Z utworów zapomnianych poetów.



Stefan Garczyński (1810—1833).

Z poematu „Bitwa pod Grochowem”

(25 lutego 1831 r.)

Słońce było już weszło. Warszawa, z mgły siwej
 Świątyń krzyżami w słońcu błyskając wysokiem,
 Spokojna, jako w duszy naród nieszczęśliwy,
 Wyrzała na obszerne zawiślańskie niwy
 Okiem nietrwożnem prawda, lecz i czułem okiem.
 Tak dziewica spogląda wszerej morskiej powodzi,
 Gdy jej kochanek życie słabe zwierzył todzi.
 Widzieć w naszej stolicy było bez przestanku
 Na każdym wyniesieniu, na każdym krążanku
 Tłumy ludzi ciekawych: tu matka z dzieciną
 Łzawem przebiega okiem rozstawione szyki;
 Tu starzec z zadumaną, zasepioną miną.
 Spychając jedną rękę różańca krzyżyki,
 Drugą liczy armaty i głąb wojska zmierza;
 Tu znów ksiądz od kielicha, Hostyi i pacierza
 Na wieżycę szczebluje, wypadków ciekawy,
 Bo od nich los ojczyzny, los zawiśł Warszawy.

Plac bitwy jest obszerny. Nasze prawe ramię
 Chwyciło las olszowy, lewe — Białotęgę,
 W środku konnica skrzydłom podawała rękę.
 I tak szeregi stały, jak tama przy tamie,
 Czekaając nawałnicy.

Z gęstego drzew piaszcza,

Którym półokrąg dalej najeżone lasy,
 Wyglądały czarniejsze silnych wrogów masy
 I zabłysnęło czasem: to armaty paszcza
 Na naszych skierowana, to lont, bagnet w świetle;
 Albo rzędem na zwiady kozacka konnica
 Ciągnie z borów wśród dymu, jako czarownica,
 Kiedy z gardła komina wyleci na mietle.

My łupu nie żądamy! Jak Wisła spokojna
 Kolebie w łonie swoim rysunki kościołów,
 Tak w żołnierza sumieniu—wojna, krwawa wojna
 Nie panuje—on tylko chce z tłumu popiołów
 Pamiątki wskrzesić przodków, ojczyznę, swobodę!
 Starzec, pomny na dawne Kościuszki zamiary,
 Porwał za broń i sypiąc w broń zabójczy ołów.
 Myśli, że mu się jeszcze wróca lata młode;
 Młody pamięcią zbiega, co doświadczał stary,
 A każdy chce być tylko wolnym i polakiem.

Lecz słuchajcie: grzmot blizki; patrz! armat czterysta
 I pułków dwieście rusza, wysuwa się z lasu;
 Artylerya z najmniejszych pagórków korzysta.
 Słychać komendę wodzów, zgiełk—pełno hałasu—
 Konnica nieprzejrzana wśród kurzu wyrasta.

W tej chwili dzwony na mszę uderzyły z miasta...

I bitwę rozpoczęto...

Zimny proch posłuszniejszy, oko lepiej świeci,
 Bo my broń ojców wzniesli na obronę dzieci,
 Mąż umrzeć lub zwyciężyć — na krzyż przysiągł żonie;
 Na nas ojczyzna cała świat buduje cały,
 Szeregom bitnym—przodków orzeł wieje biały.

Bagnet sparł się z bagnetem, aż w piersiach przepada
 Gromada jedna padła, znów druga gromada—
 Żołnierz polski tysiące trupów w lesie kładzie...

Trzykroć odparci byli, trzy godzin bez przerwy
 Bój—nie!—rzeź trwała w lesie. Nakoniec rezerwy
 Ostatnie wróg wprowadza—pola czarne ludem...

Nasi walczą—choć ręka wysilona trudem,
 Choć dziesięć na jednego z wszystkich stron nastaw a
 Każde drzewko jest twierdzą, każdy błysk śmierć rzuca.
 I było widzieć w końcu, gdy strudzone płuca
 Z stron obudwu ucichły, zmniejszyla się wrzawa,
 Gdy nasi za odgłosem trąby do odwrotu,
 Podpaliwszy brzeg lasu, przeciągali w dymie,
 Każdy drogiej ojczyzny na głos wołał imię...

O broni palnej

i przyczynach smutnych z nią wypadków!

— Jaki okropny wypadek?

— Prawdziwe nieszczęście!

— Biedny Henryś, ma przestrzeloną rękę,
 biedni rodzice! Ale jakże można było dopuścić,
 aby taki wyrostek, jak Henryś, dorwał się do
 strzelby!

Tego rodzaju wykrzykniki i ubolewania
 dają się nieraz słyszeć, kiedy zdarzy się jakiś
 nieszczęśliwy wypadek z bronią, a te niestety!
 bywają u nas bardzo często.

Tymczasem nieraz mowy być nie może
 o jakimś niedbalstwie lub braku opieki. Prze-
 ciwnie!

Znam dwory, gdzie matki wymogły na
 ojcach usunięcie wszelkiej broni palnej z domu,
 aby nie wpadła w ręce chłopakom. Nawet sta-
 remu ogrodnikowi odebrano jakąś nieszczęsną
 przedpotową pukawkę, z której strzelając pro-
 chem, bo śrutu używać nie wolno było, — od-
 straszał wrony i wróble.

Innym razem chłopcy pojechali z korepe-
 tytorem do pasieki. Pozostawszy zaledwie chwilkę
 sami w chacie pasiecznika, kiedy opiekun
 wyszedł na minutę na ganek, zobaczyli jakąś
 popsutą starą strzelbinę, która podobno służyła
 już do poprawiania ognia na kominie. Nie
 mając pojęcia o obchodzeniu się z bronią, a za-
 słyszawszy coś o uderzaniu przy strzelaniu,
 poczęli bić i stukać po niej kawałkiem żelaza.
 Nagle padł strzał i cały nabój śrutu uwiązał
 Stasiowi w biodrze.

Co najdziwniejsza, że zarówno stary pa-
 siecznik, jak jego żona gotowi byli przysiądź,
 że fuzya nie była nabita, tembardziej, że od
 kilku lat brakowało jej kurka.

A no widać, ktoś ją kiedyś nabił, a przez
 nieumiejętność lub niedbalstwo ładunku nie wy-
 kręcił, tylko zdjął piston. Musiało zostać tro-
 chę masy pistonowej w panewce, przy uderze-
 niu żelazem nastąpił wybuch i proch się zapa-
 lił. W sąsiedztwie znów chłopiec kredensowy
 znalazł na strychu zapomnianą bodaj od lat
 trzydziestu starą dubeltówkę; pomimo iż nie

było pistonów, przy probowaniu zamku wypaliła i o sto kroków zraniła kula przechodzącą krowę. Szczęściem, że jeszcze krowę a nie człowieka?

A to mierzenie do kolegów lub rodzeństwa z wrzekomo nie nabitej fuzyi lub rewolweru, które okazują się, że były nabite, ileż powoduje niepowetowanych nieszczęść?

A pędzenie po lesie lub polu, trzymając fuzyę z odwiedzionym kurkiem, żeby jak umyślnie postrzelić samego siebie?

Takich wypadków możnaby naliczyć tyśiące! A jakż stąd wniosek?

Wniosek bardzo prosty, a który zarówno wychowawcy jak młodzież powinni zapamiętać, powinni, jak mawiał ś. p. Adam Bar, ongi dyrektor gimnazjum realnego w Warszawie, zacny przewodnik młodzieży, „wypisać go za uchem rozpalonym gwoździem“.

Ponieważ zupełne usunięcie broni zewsząd, gdzie można się na nią natknąć, ani ciągle pilnowanie chłopców jest niemożliwe, trzeba koniecznie nauczyć ich obchodzenia się z bronią, pokazać, na czem polega jej niebezpieczeństwo. Wraz z umiejętnością przyjdzie i właściwa ostrożność. Takie przyuczanie do obchodzenia się z bronią od młodego wieku przyda się nieodzownie w życiu dalszem, zarówno przy pełnieniu obowiązkowej służby wojskowej, jak i myślistwie, które jest rozrywką hartującą, zdrową i przyjemną. Ale prócz tego każdemu i każdej nawet może zdarzyć się potrzeba umieć użyć broni w obronie własnej lub drugich, należy więc mieć o niej pojęcie, przyzwyczaić się do ostrożnego i umiejętnego jej użycia.

Niema umiejętności bez nauki, to też w wielu szkołach angielskich i szwajcarskich uczą już od klas najmłodszych, jak obchodzić się z bronią, naturalnie z ćwiczeniami praktycznymi. Już to wogóle w tamtejszych szkołach zwracają uwagę na rozwój praktyczności w uczniach i na umiejętność zastosowania w życiu nabytych wiadomości teoretycznych. To też tam nie zdarza się, że gdy ogrodnik poprosi „uczonego panicza“, co teoremy geometryczne umie na pamięć, aby wyliczył powierzchnię jakiegoś prostokątnego kawałka gruntu, — ten nie potrafi zrobić pomiaru i zaśłania się wymówką: „tego u nas nie uczono“.

Więc niech tymczasem na łamach „Wieczorów Rodziny“ skreślę główne zasady obchodzenia się ze strzelbą, aby nie wzbudzała obawy i nie narażała na niebezpieczeństwo, lecz znajdowała się w rękach rozumnych, w rękach uświadomionych o własnościach tego znakomitego wynalazku ludzkiego.

Wprzód jednak uprzytomnijmy sobie choć pokrótce rozwój historii broni palnej ręcznej.

* * *

Człowiek pierwotny, odkąd zaczął zdobywać sobie żywność przez myślistwo, zrozumiał rychło znaczenie pocisku, jako środka ugodzenia zwierza z daleka. Pierwszym pociskiem był prawdopodobnie kamień, a pierwszą siłą poci-skową — naturalnie ręka. Z biegiem czasu kamień zastępowano zaostrzonymi kawałkami drzewa, dzirytami i t. p.

Z wydoskonaleniem samego pocisku zrodziła się jednak potrzeba łatwego otrzymywania go napowrót po użyciu, i druga potrzeba jeszcze ważniejsza — powiększenia siły rzutu ręki.

Pierwsza potrzeba sprawiła wynalezienie jednej z najdziwniejszych broni, której dotąd używają dżicy Australczycy, lecz która, jak się okazuje, była znana już w głębokiej starożytności, a mianowicie w Egipcie.

Bronią tą jest tak zwany *bumerang*, rodzaj zakrzywionego kija z pewnymi wyżłobieniami na powierzchni. Wskutek tego zakrzywienia i wyżłobień przy umiejętnym rzucie bumerang pędzi niby latawiec, obracając się dookoła siebie, — uderza i wraca napowrót prawie do stóp tego, który nim cisnął. Zręczność niektórych krajowców Australii w używaniu bumerangu wprawia w istny podziw i zdumienie. Potrafią oni ugodzić np. kaczkę, lecącą nad wodą; kaczka skacze wprost do wody, ale bumerang wraca ukosem na brzeg. Tu znowu, schowani za krzakiem, chcą trafić w przechodzącego obok nieprzyjaciela; rzucają bumerang w ten sposób, że zakreśla poziome półkole i uderza. Niektórzy umieją tak kierować bumerangiem, że okrąży w powietrzu dom lub chatę i wraca do właściciela. Żaden z Anglików, pomimo iż celują we wszelkich sportach, nie mogli posiadać należycie umiejętności używania bumerangu.

Ale bądź co bądź, broń taka mogła być wystarczająca tylko w stosunkach pierwotnych.

Trzeba było znaleźć narzędzie, któreby wyrzucało pociski dalej niż ręka. Wynaleziono więc *proce*, którą Dawid zabił Goliata. Ów kij rozszczepiony, przy którego końcu osadzono kamień, był niejako przedłużeniem ręki, a więc nadawał większy rozmach i silniejszy rzut.

Wreszcie w pewnej epoce, wynaleziono *łuk*, którego zasada opiera się na prężności, t. j. na skłonności ciała zwłaszcza giętkich, powracania do pierwotnego prostego położenia. W łuku prężność ta działa podwójnie, bo najprzód sam łuk właściwy dąży do rozprostowania się i naciąga silnie cięciwę, a do tego dochodzi jeszcze naciąganie samej cięciwy strzałą, która skutkiem tego wylatuje z wielką siłą.

W używaniu łuków celowali najbardziej narody, chętne do konia, starożytni Partowie, Numidzi, potem Tatarzy. Lecz w średnich wiekach obok w stal zakutych rycerzy bywały już całe oddziały pieszych łuczników, którzy swemi strzałami więcej razili, niż pierwsze strzelby.

Proch jednak zwyciężył wszelką broń dawną i rychło zaczął być używany nie tylko do armat lecz i do broni palnej ręcznej.

(d. c. n.)

Życie domowe Piusa X.

Ojciec św. liczy obecnie 70 lat, prowadzi życie bardzo regularne. Letnią porą wstaje codziennie o godzinie 5-ej zrana, albo jeszcze wcześniej, w zimie o godzinie wpół do 6. Ubięra się bez żadnej pomocy. Potem przechadza się po sypialni i sąsiednich galeryach, odmawiając brewiarz. Podczas upałów modli się w ogrodach watykańskich. O godzinie 6 odprawia mszę św., przyczem pomocnym mu jest jeden z sekretarzy prywatnych. Po mszy św. modli się Pius X. przez czas dłuższy na klęczniku przed krucyfiksem. Następnie śniada w jadalni na trzecim piętrze. Ojciec św. pije zazwyczaj mleko; w czasie postu kawę nieco mleczną.

Na mszy papieskiej bywają często siostry Piusa X z jedną z jego siostrzenic; po mszy św. śniadają wszyscy pospołu. Szczęście tych

starszek nie trwa długo. Ich ukochany „Beppo“ (Józio) ma czas ściśle wymierzony. Powitawszy je, wraca do swych zajęć i z uderzeniem godziny 8 udaje się do swej pracowni na drugim piętrze. Na wielkim stole rozłożona jest poczta poranna, którą urzędnicy watykańscy odbierają wprost z dyrekcji poczt królewskich. Papież stara się wedle możliwości przejrzeć osobiście całą pocztę.

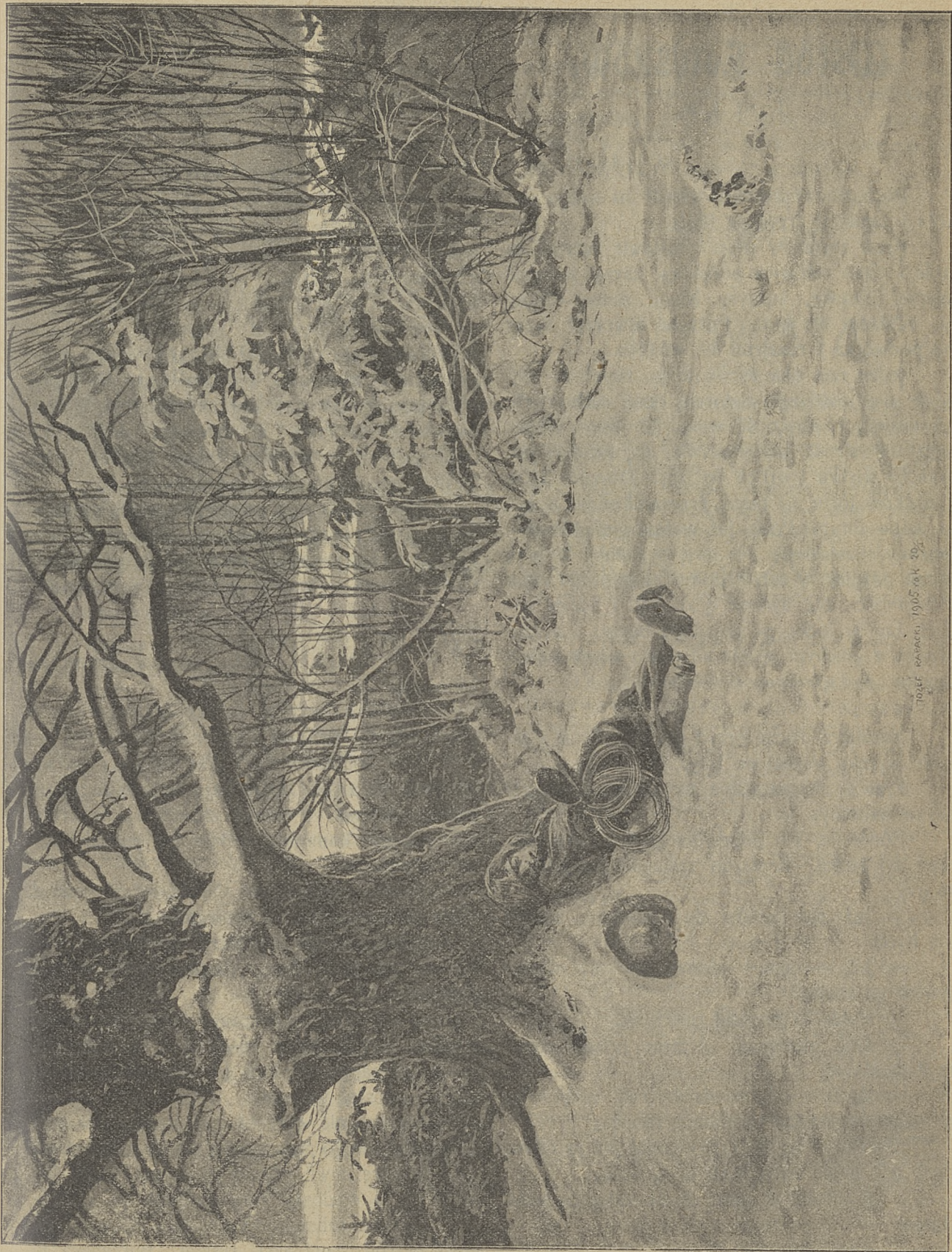
O godzinie 9 przybywa mons. Merry del Val z depezsami i najnowszymi wiadomościami i sprawozdaniami nuncyuszów i posłów. O godz. pół do 11 sekretarz stanu odchodzi i papież przyjmuje innych dostojników kościelnych i kardynałów. Następują posłuchania, które trwają 2 godziny.

Papieżowi podają drugie śniadanie. Kuchnia rzymska nie przypada do gustu Piusa X; jada na sposób wenecki. Po jedzeniu zazwyczaj przechadza się z sekretarzem po galeryach, gdzie liczni wierni oczekują na błogosławieństwo. Dla każdego z przybyszów ma łaskawe słówko, życzliwy uśmiech. O godzinie 5½ wraca papież do pracowni i przyjmuje zaufanych znajomych i dostojników.

Gdy jest sam jeden, czyta i czyni zapiski, a opuszcza pracownię o 9½. Pod koniec każdego dnia spisuje w notatce swe spostrzeżenia, wydaje polecenia na dzień następny. Spożywa lekką wieczerzę i o godzinie 10 udaje się na spoczynek.



Ojciec Święty na przechadzce.



TOJEF SAWACI, 1905. rok 192.

JULIUSZ VERNÉ.



Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy).

Poch ziewał szeroko, wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Kroff został w izbie. Postawił latarnię na stole i jako człowiek porządny, zaczął sprzątać talerze, filiżankę, imbryk. Nigdy żadnej roboty nie odkładał do jutra. Poczem otworzył drzwi od podwórka i rozejrzał się wokoło.

Jeden rzut oka uspokoił go zupełnie. Nigdzie nie dostrzegł żadnych cieni ruchomych, zdradzających obecność wilka lub lisa. Wobec tego nie chciał się wystawiać na wściekłe poddmuchy wichru i wrócił do izby. Dorzucił kilka kawałków torfu do pieca, przeszedł mimo pokoju, gdzie chrapał Poch, już w śnie głębokim porażony, i udał się do swej sypialni. W parę minut później w całym domu zapanowała cisza i ciemność. Na dworze tylko wył i huczał wichher, łamiąc jodły w sąsiednim borze, a deszcz ulewny z głuchym jękiem uderzał o ściany i dach szynku „pod złamanym łakiem“.

Nazajutrz trochę przed czwartą, Kroff z latarką w ręku wszedł do izby.

Prawie równocześnie we drzwiach ukazał się nieznajomy.

Podobnie, jak poprzedniego wieczora otulony był burką. Kapiszon zasłaniał mu połowę twarzy.

— Już pan gotów do podróży — zdziwił się Kroff.

— Już — odparł nieznajomy. Ile winien jestem za nocleg?

— Rubla — mruknął oberżysta.

— Oto pieniądze. A teraz proszę otworzyć mi drzwi.

— Zaraz — odpowiedział Kroff, przy świetle latarki oglądając otrzymaną monetę.

Skierował się do drzwi i miał już je otworzyć, gdy nagle zwrócił się do gościa:

— A możebyś pan chciał zakąsić przed drogą?

— Dziękuję. Nie.

— W takim razie kieliszek wódki?

— Powiedziałem już, że nie chcę nic. Proszę otworzyć prędeż.

— Jak nie, to nie.

Z temi słowy odsunął rygle. Klucz zgrzytnął w zamku. Drzwi się otworzyły.

Na dworze było jeszcze ciemno. Deszcz ustał, lecz wichher był równie silny, jak dnia poprzedniego.

Nieznajomy staranniej jeszcze otulił się burką, i nie mówiąc słowa wyszedł z pośpiechem. Po chwili znikł w ciemności. Kroff zaryglował okute żelazem drzwi swego szynku.

IV. Niemcy i Łotysze

W domu Johansenów pierwsze śniadanie podawano zwykle o godzinie dziewiątej. Obaj bracia chlubili się zawsze porządkiem i systematycznością, nie tylko w interesach bankierskich, lecz i w życiu codziennym. Za nic w świecie nie odstąpiliby od przepisów, uświęconych zwyczajem. Godziny posiłków, wizyt, przyjęć, snu i wstawania nie zmieniały się nigdy. Dnia tego jednak samowar nie chciał się jeszcze zgotować pomimo, iż dziewiąta dochodziła. Dlaczego? Było to winą lokaja Trankla, który niestety, nieraz grzeszył niedbalstwem.

Równocześnie z uderzeniem godziny dziewiątej pan Franciszek Johansen, jego żona, brat i córka Greta weszli do jadalni. Na widok pustych filiżanek wszystkie oblicza się przeciągnęły.

Trankel, dlaczego herbata nie nalana? — zapytał pan Franciszek surowo?

— Przepraszam pana... wyjąkał zmieszany winowajca, ale... zapomniałem...

— Nie pierwszy to raz zapominasz o swych obowiązkach.. ciągnął bankier tonem karcącym.

Pani Johansenowa i brat młodszy skinęły głowami na znak, że uważają naganę za najzupełniej słuszną. Poczem usunęli się w stronę fajansowego kominka, z którego buchały wesołe płomienie.

Trankel milczał ze spuszczonej oczami. Mina jego wzbudzała politowanie.

Bankier wyjął z kieszeni notatnik i nakreślił w nim słów parę. Poczem wygłosił uroczyście:

— Za karę wytrącam ci połowę pensyi miesięcznej. A teraz pośpiesz z herbatą i idź zaraz do majora Verdera pó odpowiedź na list, który zaniósłeś wczoraj.

Trankel nie odrzekł ani słowa, pokornie pocałował swego pana w rękę i znikł za drzwiami.

W parę chwil później samowar kipiał już na stole, a niedbały lokaj spieszył do ratusza.

Rodzina Johansenów należała do najpierwszych wśród burżuazyi ryskiej. Burżuazyja ta, podobnie, jak cała arystokracja w prowincjach nadbałtyckich, jest pochodzenia niemieckiego i ślepo przywiązana do tradycji germańskich. Od chwili osiedlenia się w tym kraju, t. j. od XIII wieku, nic się nie wynarodowiła. Ryga, dawniejsza stolica Kawalerów Mieczowych, założona

w 1196 r. przez Bartolda, o dwie mile od ujścia Dźwiny, jest miastem handlowem i przemysłowem. Należała niegdyś do Związku Hanzeatyckiego. Wysokie domy, strome dachy, gotyckie frontony, ciasne nieregularne ulice, nadają jej charakter miast staroniemieckich. Tylko nowsze dzielnice, tak zwane przedmieścia, zbudowane są w stylu nowożytnym. Do najciekawszych zabytków właściwej Rygi należą: kościół katedralny w cytadeli, kościół św. Piotra z piękną dzwonnica, mająca 440 stóp wysokości, Wielki i Mały Ratusz, pomnik kawalerów mieczowych, znajdujący się po drugiej stronie rynku. Pomnik ten najeżony chorągiewkami, żałośnie skrzypiącemi na wietrze, ma wygląd raczej dziwaczny niż artystyczny.

W rynku znajduje się dom bankierski Johansenów, zbudowany w stylu nowożytnym. Firma to bardzo solidna, cieszy się ogromnym kredytem i ma stosunki ze wszystkimi pierwszorzędnymi bankami Państwa.

W rodzinie Johansenów z dawien dawna panuje wielka jedność i wzajemne uznanie. Obaj bracia występują zawsze zgodnie. Starszy kieruje operacjami finansowemi firmy. Do młodszego należy kontrola biur i kasy.

Pani Johansenowa, urodzona we Frankfurcie, dumna jest ze swego pochodzenia; to tylko, co niemieckie, ma w jej oczach wartość.

Z dwojga dzieci starszy syn dwudziestodwuletni, Karol odbywa studia uniwersyteckie w Dorpacie. Młodsza córka Greta uczy się w domu.

Franciszek Johansen ma już lat czterdzieści pięć, jest głównym dyrektorem banku, członkiem rady miejskiej i jednym z najzaciętszych obrońców tradycji germańskich. Z oburzeniem spogląda na wszystkich Łotyszów, dążących do zdobycia udziału w administracji i wywalczenia sobie równych praw z przedstawicielami wielkiej niemieckiej ojczyzny.

Łotysze stanowią rdzenną ludność kraju, a jednak z dawien dawna zepchnięci zostali na stanowisko podrzędne. Zajmowali się wyłącznie uprawą roli zachowali swój język i dawne zwyczaje. W ostatnich czasach obudził się wśród nich ruch narodowościowy, który się szerzy z szybkością niezwykłą, ogarniając masy coraz szersze.

Wśród patryotów łotewskich energią, zdolnościami, zapałem wyróżniał się Matias Ozolin. On stał się przywódcą partii narodowej, która na przyszłych wyborach do rady miejskiej chciała koniecznie przeprowadzić jego kandydaturę. Sam fakt, że ubogi profesor bez majątku i znaczenia wystąpił jako przeciwnik potężnego bankiera był już bardzo znamienny. Johansenowie jednak nie ulękli się walki, tembardziej, że w rękach swych mieli środek potężny, mogący niezawodnie zmiażdżyć

Ozolina. Za sześć tygodni przypadał termin spłaty weksłu. Suma długu — jak na ubożego profesora — była olbrzymia: 18000 rubli! Ozolinowi tych pieniędzy z pewnością nie pożyczą nikt, a dom bankierski prolongaty nie udzieli. Idzie tu przecież o pokonanie przeciwnika politycznego! Niewypłacalny dłużnik ścigany przez prawo cywilne i wyrzucony na bruk nie może się ubiegać o najwyższą godność w mieście.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

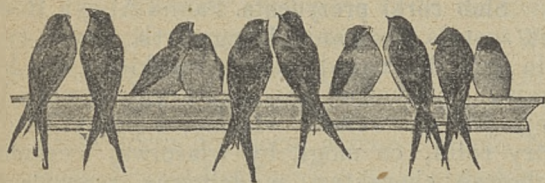
Ślub córki prezydenta. Panna Alicya Roosevelt została już panią Longworth. Przez tygodnie całe dla narodu amerykańskiego nie było sprawy politycznej ani narodowej równie ważnej, jak to wesele właśnie, a prezydentowi, który robił, co mógł, by właściwej ceremonii zachować charakter wydarzenia prywatnego, brano za złe, że i on nie uważa wesela za święto narodowe. W wigilię ślubu odbyła się — próba generalna ceremonii weselnej, która trwała, z udziałem pełnej orkiestry dwie godziny, po czem panna Alicya kazała próbę raz jeszcze powtórzyć.

Dzień wesela obchodzono istotnie jak święto narodowe w Waszyngtonie: — sklepy na ulicach głównych były przeważnie zamknięte, po ulicach snuły się gromady ludzi, przed Białym Domem już od wczesnego ranka stały tłumy nieprzejrane, czekając na zjazd gości weselnych. Ślub odbył się w t. zw. sali zachodniej Białego Domu, rezydencyi prezydentów w Waszyngtonie. Sala ta była przepysznie ozdobiona; ogrodnicy waszyngtońscy współzawodniczyli z ogrodnikami miast innych, a wszyscy nadesłali najwspanialsze kwiaty. Jeden z ogrodników ofiarował 700 storczyków.

Gości zaproszonych było około tysiąca — ciało dyplomatyczne, ministrowie, członkowie sądu najwyższego, miliardrzy i t. d. — zaledwie mogli się pomieścić w wielkiej sali. Punktualnie o godzinie 12-tej ukazała się panna młoda, przez ojca prowadzona. Druchen nie było, albowiem panna Alicya tyle miała towarzyszek, że wybór stał się niemożliwy. Ceremonii ślubu dopełnił biskup anglikański Satterlee. Po ślubie odbyło się śniadanie w wielkiej sali jadalnej, gdzie ustawiony był zimny bufet. Panna młoda własnoręcznie napoczęła tort weselny — mający trzy stopy wysokości — szpada majora Mac Cawleya, adjutanta ojca.

Chcąc uniknąć zetknięcia z tłumem, który tłoczył się przed Białym Domem, młoda para oddaliła się drogą niezwykłą — mianowicie przez okno. Samochód zajechał przed tył domu, panna młoda wyszła oknem na werandę, mąż za nią i wsiedli do samochodu, który odjechał wśród gradu ryżu, jaki rzucali za nim goście weselni.

Podarunki ślubne, jakimi obsypano córkę prezydenta, dobiegły do liczby tysiąca. Pan młody nie otrzymał nic, skutkiem tego, deputacya z dziesięciu Indian z Oklahomy złożona zjawiała się w przededniu wesela w Białym Domu, zażądała widzenia się z „wielkim białym ojcem“ i wręczyła mu kaftan ze skóry bawolej, suto paciorkami naszywany. Wódz oświadczył uroczyście, że kaftan przeznaczony jest dla pana młodego, gdyż jak donoszą gazety, wszystkie podarunki przeznaczone są dla panny Roosevelt, a dla p. Longworth nic. Prezydent Roosevelt przyjął kaftan dla zięcia i zapewnił wodza indyjskiego, że jeśli p. Longworth nosić go nie będzie, nie da mu swej córki, o czem zawiadomili telegraficznie swój szereg uradowani Indianie.



Skrzynka do listów.

Spieszę, Synu Polski, odpowiedzieć na twój list, tak gorączkowy i nagły, że chciałabym rozwinąć skrzydła i lecieć co sił do ciebie. Posłałam ci radę już w Nr. 7 naszego kochanego pisma, wiesz więc, że jako pierwszy obowiązek względem ojczyzny uważam dla wszystkich młodych kształcenie umysłu, uszlachetnianie duszy, wyrabianie woli silnej, a potem pracę nad otczającymi nas braćmi. Dar, który przysłałeś, przyda się bardzo. redakcyja rozporządzi nim mądrze i sprawiedliwie, a ja chcę ci donieść co postanowili dwaj znani mi korespondenci «Wieczorów». Oto utworzyli we wsi, którą zamieszkują z rodzicami, grono bratnie; należą do niego wszyscy więjcy chłopcy, gromadka jest więc spora. Przestrzegają między sobą porządku, nie kłamią, gimnastykują się, razem chodzą do kościoła, razem na przechadzkę, rozmawiają z sobą o przeczytanych książkach, śpiewają chórem, a gdy zdarzy się któremu z chłopców popełnić coś złego, wybierają z pomiędzy siebie sędziów, sami błąd towarzysza sądzą i naczynają karę, w najgorszym zaś razie, gdy wina powtarza się często, wydalają go ze swego grona. Tak sroga kara spotkała dopiero jednego chłopca, okazuje jednak taką skruchę, że moi znajomi wierzą w jego poprawę i zapewne niedługo przyjmą go znów w poczet swoich członków. Czy podoba ci się, Synu Polski, ten sposób służenia ojczyźnie? Mnie bardzo, bo można matce lepiej okazać naszą miłość, jak dopomagając jej dzieciom?

Rady pragnie i **Płacząca Brzózka**, całem sercem dzieli twój smutek, rozstanie z nauczycielką to istotnie wielkie zmartwienie. Więcej jednak jeszcze boleję nad szanownymi twymi rodzicami, którzy w obec ciężkich czasów nie są w stanie łożyć na dalsze kształcenie córek. Czemuż nie mogę uściskać cię i powiedzieć wszystkiego, co ciśnie mi się do myśli. Bo **Brzózko** to, co pozornie stanowi dla ciebie przeszkodę w dalszej pracy, może być właśnie kluczem do pozyskania wiedzy, a co ważniejsza hartu i dostojności duszy. Wczasy przyszło ci być przewodniczką młodszych sióstr, ale

korzyść odniesiesz stąd wielką, bo ucząc je, zdobędziesz sama naukę. Nic tak nie kształci, jak oddawanie drugim tego, co już posiadliśmy w dziedzinie nauki, nic też tak nie zachęca do dalszej nad sobą pracy. Nie brak wam teraz, młode siostry moje, doskonałych podrećników do samokształcenia, ja takich nie miałam, jedynym źródłem, z którego czerpałam wiedzę, była stara encyklopedia i jej to zawdzięczam ten okrucz nauki, który osiąść mi się udało. Chwałę ci też bardzo chęć zdobycia fachowej wiedzy, sądzę jednak, że jesteś jeszcze na to za młoda. Ucz siostry i ucz siebie tymczasem, bądź cierpliwa i dobrą, a jeśli zapragniesz jeszcze rady Jaskółki, to ona zawsze z radą pośpieszy, szczęśliwa, że choć myślą utulić może, przedwczasnie troską życia dotknięte pisklę.

Gołąbkowi z Kastelu redakcyja wysłała pismo, bo bardzo pragnie, niech światło i radość w rodziny polskie spływa, a ufa w zamian, że praca jej i starania będą ocenione przez społeczeństwo, na którego poparcie liczy w ciężkich czasach, jakie obecnie przeżywamy wszyscy. Jaskółka dziękuje za pamięć a prosi o list.

Nie boisz się mnie **Muszko**? Choć ptaki tyle twoich siostrzyc połknęły, ale my obie należymy do zupełnie odrębnego gatunku, prawda? Chcesz rady, jak się stać godną kochania na pensyi? Odpowiem: kochaj dusze twoich koleżanek, staraj się pomagać im w pracy i w dążeniu do dobrego, a rób to wesoło i miłutko. Czekam niecierpliwie wiadomości, czy moja rada okazała się dobrą.

Prędzej, prędzej, śpiesz **Pszczółko**, zaciekawiłaś mię obietnicą, więc względem jej spełnienia i obiecuję nie zostać dłużną.

Dziękuję, **Niezabudko** z nad **Bugu**, za wielką radość, jaką sprawiłaś mi przysłaniem fotografii. Ileż razy myślałam o tobie, o kochanej Jadwini, o Andzi. czy pracujecie razem na grosze dla biednych, jak to dawniej bywało, kiedy pamiętasz zarabialiście je noszeniem drzewa, lub ścieraniem kurzu. Mam dotąd obrazek, który mi przesłałaś, dotąd też pamiętam ciężką chorobę szanownej twej mamy i twoją, wtedy był to tyfus, teraz znów szkarlatyna, doprawdy wiele złego na jednego. Niech Bóg odwróci to złe od was na zawsze. Historję Polską radziłabym **Lewickiego**, a powszechną **Korzona**. Będę ci zawsze siostrą, **Niezabudko**, i często, bardzo często, spojrzę z uczuciem siostry na twoją fotografię.

Mam dwa listy od dwóch kwiatków, które mnie bardzo ucieszyły. bo długo czekałam na wiadomość od **Niezabudki** i **Szarotki** z nad **Rewenia**. Widzę, że choć zmieniłyście pseudonimy upodobania i uczucia wasze zostały te same. Pytacie, co słycać w Warszawie? Jakże trudno na to odpowiedzieć. Słycać przyspieszone bicie serc, które oczekują spełnienia lepszych nadziei, słycać stroskane głosy matek, niepewnych czem jutro nakarmią głodne dzieci, słycać skargę młodzieży żadnej nauki, która nie ma gdzie po nią spieszyc, słycać budzące się poczucie praw i uczuć obywatelskich w tysiącach, słycać żądania użytecznej, chlebobodajnej pracy, a pola tej pracy ciasne. Nie słycać tylko karnawałowego gwaru, zabawy, bo nawet młodzi myśl i dążenie skierowali ku jutrenkom zwiastującym lepszy dzień światu. Więc módlcie się, kwiatki, by światło jutrenki nie zbladło i pracujcie z ludem, ja was zawsze do tej pracy zachęcać będę.

Znam, kochana **Wilijo**, wszystkie książki, o które pytasz, i zupełnie się zgadzam na zdanie o p. Segur jak i na to, że «Pana Tadeusza» chętnie czytujesz, bo sama zachwycam się tą cudną poezją. Czy słyszałaś o projekcie uczczenia Elizy Orzeszkowej jubileuszem?

Wielkie ona położyła zasługi dla kobiet polskich, to też chciałabym, żeby młodzież «Wieczorów» w jakikolwiek sposób wyraziła jej swoje uczucia. Pomyślcie nad tem moje kochane i przyślijcie mi swoje projekty, może razem postanowimy coś prawdziwie dobrego i miłego dla wielkiej autorki.

Stokrotka z Borsuków zrobiła mi wielką przyjemność, pisząc o **Brzozie**, może ta kochana Brzózka, przyśle też kiedy jakie słowo Jaskółce, na dowód, że rady starego ptaka zachowała w sercu. Fru-nęłabym chętnie pod wasz dach, żeby pomódz w szyciu sukienek dla trzech córeczek, gdyż nielada to musi być praca, łatwiej już Bożej Krówce poradzić sobie z jedną Marychną. A pamiętajcie moje dobre mamy, że żadna nauka tak nie poprawia dzieci, jak przykład, który im dajemy, wy pewnie zresztą wiecie o tem, jestem też spokojna o panienki wasze, będą pracowite, miłosierne i mądre, prawda?

Dziękuję **Krasko Leśna**, za chęć poznania Jaskółki, wyrażoną w tak miły sposób. Wszystko, co piszesz trafia do serca; jak ty, zachwycałam się życiorysem ks. Józefa Poniatowskiego i czułam wdzięczność dla historyka, który umiał wnikać w mękę duszy tego bohatera. Donieś mi, proszę, jak się ma **Kobuzek** kochany i powiedz **Szarej Pliszce**, że jej dziękuję za dopisek w liście. Czy podobają się wam «Wspomnienia z lat młodzieńczych», drukowane teraz w «Wieczorach»? Mnie zajmują one bardzo, gdyż są prawdziwą historią dzielnego chłopca, który nie żałował życia i trudu.

Wieśniaczka Litewska ani wspomina o dawnych sprawach, które Jaskółkę interesują. Chciałabym np. wiedzieć, co się stało z Towarzystwem, jakie założyłaś dla opieki nad dziećmi żołnierzy zabranych do wojska. Czy ojcowie tych biednych malców wrócili, czy może są kalekami i potrzebują twojej opieki. Donieś proszę, czy korespondent, o którego pytasz, jest dziewczynką?

Gałązka Bluszezu, to bardzo dawna znajoma, chociaż coraz to w nową przedzierzga się postać. Raz świeci gwiazdką na błękitcie, to znów pluszcze się w srebrnej wód toni, albo wykwiata wążką roślinką a miłą jest zawsze i radabym jej służyć radą. Błędów nie znalazłam w twym liście, co zaś do książek, to sądząc z tego co piszesz, radziłabym ci przeczytać «Stefka Lutego», lub «Żołnierza Deweta». Po rocznik «Wieczorów» zgłoś się do redakcyi, kosztuje oprawy 5 rubli. Masz słuszną pragnąć Chrystusowej miłości dla świata, bo bez niej coraz cięższem będzie wspólne życie społeczeństwa, pamiętaj jednak Gałązko, że świat, to my, więc niech gwiazdka świeci, niech rybka karmi, niech gałązka otula i pociesza. Oto rada

Jaskółki.



Kalendarzyk historyczny.

na Marzec (od 1 do 15-go)

2. Śmierć Władysława Łokietka 1333 r.
- „ Bitwa pod Kurowem 1831 r.
3. Chrzest Mieczysława 965 r.
4. Zaślubiny Dąbrówki z Mieczysławem 965 r.

4. Śmierć królewicza Kazimierza Jagiellończyka 1498 r.
8. Pierwszy sejm w Wiślicy 1347 r.
13. Traktat Jana III z ces. Leopoldem na wojnę z Turcyą 1685 r.

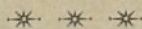


ŻARCIKI.

Sprawiedliwy podział.

— Józiu! — zapytała mama. — Czy podzieliłeś się z Tadzim czekoladką, tak jak ci mówiłam?

— A jakże, mamusiu! Zjadłem czekoladkę, a jemu dałem papierek z wierszami. On bardzo lubi czytać...



Zimna krew.

Pan do stangreta. Trzymaj lejce, na Boga! konie ponoszą!

Stangret. Nic nie szkodzi, proszę pana, jak wpadnem do rzeki, to konie staną...



ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Perkowskiemu w Sumach. «Bluszez» wychodzi: red. Nowy-Swiat 41.

Trafne rozwiązanie łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali następujący czytelnicy i czytelniczki: Manusia Gunkowska z Lityna, Zosia Knabówna, Aldona i Bogini Kwiatów, Bohun, J. Fischhaut z Zawrościa, Primawera, Wilija, H. Jaczynowska z Grodna, Konik polny.

Zosi Knabównie. Przeplątanka literową zaliczona została do druku.

Sokolowi. W tego rodzaju zadaniach i końcowe litery winny składać jakie wyrazy. Może ponownie opracujesz łamigłówkę.

Bezmiennemu. Logogryf zamąlo opracowany; końcowe litery winny też składać jakie przysłowie.

Jednej z czytelniczek „Wieczorów“ i Willi. Możemy polecić dwa następujące podręczniki do botaniki: 1) Józef Rostański „Botanika szkolna dla klas wyższych“ Cena 1 rb. 30 kop. 2) M. Heilpern „Zasady botaniki“ Cena 1 rb. Przy urządzeniu zbiorów botanicznych należy się posilkowne dziełem Feliksa Wermińskiego «Flora Królestwa Polskiego»; pomocną też będzie broszurka Łosia „Przewodnik dla urządzających zbiory botaniczne“ Cena 20 kop.

Zagłobie z nad Donu. Łamigłówki i żarciki wszystkie są bardzo znane. Sprawa wydrukowania opowiadania zależy od tego, jak jest napisane. Może przyslesz do oceny.

Wymiana kart pocztowych

(Za pozwoleniem rodziców).

Irena Bystramówna (w Bystrampolu st. pocztowa Poniewież, gub. Kowenska) pragnie korespondować z 12 lub 13-letnimi czytelniczkami „Wieczorów Rodzinnych“ i prosi je o nadsyłanie kart.

Od Wydziału „Zimowisk wiejskich“.

W końcu zeszłego tygodnia 500 już dzieci wysłano przez Wydział Zimowisk na wieś na całoroczną prawie gościnę, gdzie jak wiemy z pewnych źródeł, i dzieciom jest dobrze i ofiarujący gościnę są zadowoleni z miłosiernego swojego uczynku, ale kandydatów jest daleko więcej.

Dotychczas jeszcze Wydział Zimowisk nie zwracał się z publiczną prośbą do serc Warszawiaków, współczujących niedoli dziecięcej o pomoc w wysłaniu dziatwy, marzącej o tej wsi jak o raj.

Niechaj każdy dom przyśle do składów naszych chociaż jedno kompletne ubranko, począwszy od bucików, kończąc na czapeczce czy chusteczce na główkę, a tak niewielkimi środkami wspomóc, będziemy w możności jeszcze kilkaset dzieciaków najuboższych wywieźć na dłuższy czas na wieś, gdzie mają zapewnioną opiekę, dobre pożywienie i naukę nawet.

Zwracamy się z tem do Was, dzieci najmniejszych rodziców, niech pozwolą Wam, odnieść do Komitetu (Jasna 7) niepotrzebne już stare ubrania, bieliznę i paltoty. Spełnicie czyn obywatelski, a liczne rodziny błogosławić Was będą.

OFIARY.

Dla głodnych dzieci w Warszawie złożone przez czytelników „Wieczorów Rodzinnych“ z Aschabadu.

Jadzia, Władek i Litka Witkiewiczówny rub. 3. Zofia Bernsztejnówna rub. 1, A. Ancuta kop. 50, Zofia Wojno rub. 1, Ludmiła Nadolska kop. 50, Wicek, Wacek i Stefek rub. 1, M. Ancuta kop. 50, Jadzia B. rub. 1, G. Szumska rub. 1, Ks. J. Pranajtis rub. 2, Henio r. 10, Z. Br. 1 r., jedenaście osób bezimiennie rub. 13,

razem rub. 35 kop. 50, za które redakcyja składa serdeczne — Bóg zapłać dalekim rodakom i o użyciu tych pieniędzy zawiadomi.

TREŚĆ:

Jubileusz Kazimierza Promyka (z ryc.). — Wspomnienia z lat młodzieńczych, przez St. Br. — Z poematu «Bitwa pod Grochowem» (wiersz). — O broni palnej. — Życie don owe Piusa X (z ryc.). — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Ze świata. — Skrzynka do listów. — Kalendarzyk historyczny. — Żarciki. — Odpowiedzi redakcji. — **Dodatek:** Konkurs na kaligrafię. — Polskiemu pacholęciu (wiersz). — Słowo honoru. — Feniks i dywan czarodziejski. — Zadania i łamigłówki.

Nowe Podręczniki Szkolne.

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

C. Bogucka, C. Niewiadomska, J. Warnkówna. Podręcznik do wypracowań dla szkół elementar. kop. 20.

J. Chrzęszczewska, J. Warnkówna. Rok czytania. Wypisy na klasę II. Wydanie trzecie popr. W opr. 1—20.

C. Bogucka, C. Niewiadomska, J. Warnkówna. Ćwiczenia stylistyczne we wzorach i tematach. Stopień I, dla młodszych. Wydanie drugie popraw. 70 kop.

M. Dzierżanowska, C. Niewiadomska, J. Warnkówna. Gramatyka języka polskiego z ćwiczeniami. Podręcznik szkolny na kl. I, II i III 80 kop.

A. Faifajer. Pierwsze początki geometrii. Tłom. z włoskiego W. Kwietniewski, z rys. Wydanie drugie popraw. rb. 1.

J. Todhunter. Algebra początkowa. Tłom. z ang. Wydanie drugie, z rys.

S. Dickstein. Arytmetyka w zadaniach w trzech częściach. Część II, ułamki. Wydanie trzecie popraw. 60 kop.

... Arytmetyka w zadaniach. Część III. Stosunki. — Proporcjonalność. Kwadraty. Sześciany. — Zadania różne. 60 kop.

H. Stattlerówna i J. Jędrzejewicz. Zbiór zadań arytmetycznych, w zakresie kl. III 50 k.

Roboty pilkowe. (Ślōjd) Kurs średni dla szkół. Zebrał i opisał Józef Przyłuski, nauczyciel robót ręcznych. 60 kop.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek.

OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.

Konkurs na kaligrafię.

Dorocznym zwyczajem ogłaszamy dla młodszych czytelników naszego pisma konkurs na kaligrafię, który łączymy tym razem z konkursem na historyjkę.

Oto mamy przed sobą cztery rysunki, przedstawiające przebieg figla, wyrządzonego przez jednego chłopca drugiemu i skutki tego figla.

Niech więc każdy ze stawających do konkursu—opisze krócej lub dłużej (stosownie do wieku) to zdarzenie, stosując się do kolei obrazków i ich treści.

Opis ten należy potem przepisać kaligraficznie i nadesłać redakcyi.

Można też zamiast historyjki przepisać wiersz „Polskiemu pacholeciu!“ (p. str. 38).

W konkursie tym mogą brać udział zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, do lat jedenastu włącznie.

Próby pisma mogą być pisane w dwóch liniach lub na jednej, lecz pismem kaligraficznym, na arkuszu lub arkusiku papieru, nie na świstkach albo wyrwanych kartkach.

Przy próbach pisma trzeba podać imię, nazwisko, wiek (rok 11-ty, 10-ty i t. p.) i adres.



1.



2.



3.



4.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Kto nie życzy sobie być wymieniony z nazwiska, niech wybierze pseudonim.

Termin nadsyłania prób upływa z dniem 20 kwietnia r. b.

Za najlepsze i najpiękniejsze stosunkowo do wieku pismo będą przyznane nagrody i odznaczenia.

Na kopercie z próbą pisma prócz adresu: Warszawa, redakcyja „Wieczorów Rodzinnych“ ulica Mazowiecka 10, należy zrobić dopisek: „kaligrafia“.

Do kopert tych prosimy nie dołączać żadnych listów ani poleceń, gdyż otworzymy je dopiero po 20-ym kwietnia.

Redakcyja.

Polskiemu pacholęciu.

Nie płacz, nie płacz synku drogi,
 Żeś na ziemi swej ubogi,
 Że nie miecz ci ani radło,
 Lecz tułactwo w doli padło,
 Żeś łzy tylko i cierpienia,
 Odziedziczył z twego mienia.

Przez Bóg żywy! to fałsz dziecię!
 Naprzód wzięłeś na tym świecie,
 To, co rodu twego znakiem,
 Imię zacne — żeś Polakiem.

A czy wiesz ty, ile cześci,
 Ofiar, sławy w niem się mieści?
 Ile każda dziejów karta
 Czci i poświęcenia warta.

A więc nie płacz synku drogi,
 Żeś na ziemi swej ubogi!...
 Urodzajna twoja rola,
 Zbożem śmieją ci się pola,
 Lasy twoje — echa głuszają,
 Owce wełną ci się puszą,
 A jesienią na jabłoni,
 Szkarłatem się owoc płoni,
 Że zostaje na przechówek:
 I na zimę i przednówek.

Kwieciem strojne łany twoje,
 Kaskadami szumią zdroje,
 A strumienie twe i rzeki
 Niosą łodzie w świat daleki.

Z łanów twoich, w dawne lata,
 Tyś śpichlerzem był pół świata,
 Dzieląc wszystkich pod swem niebem,
 Równy sercem — jak i chlebem.

Sól z Wieliczki brałeś hojnie,
 Złoto w dani lub na wojnie,
 A na pługi i do zbroi,

Szło żelazo z ziemi twojej,
 I starczyło z twojej gleby,
 I na zbytek i potrzeby.

Więc pogodnem patrz mi licem,
 Boś ty skarbów tych dziedzicem,
 A co poszło z ręki Bożej,
 To nie ginie — lecz się sporzy!
 „To nie ginie, lecz w wszechświecie,
 Byt Bożego nosi dzieła“.
 Więc ufności drogie dziecię: —
 Sprawiedliwość nie zginęła! W. B.



SŁOWO HONORU.

— Franiu, czy nie wiesz, nad jaką rzeką leży Kalisz? — pytała Andzia starszego brata, pochylonego nad wypracowaniem.

— Nad Wartą — odpowiedział z drugiego pokoju donośnym głosem Boles, który, chociaż niby zajęty czytaniem, słyszał zawsze wszystko, co w koło niego mówiono.

— Ale gdzież nad Wartą, Bolciu, to Konin leży nad Wartą, a nie Kalisz — zaprzeczył Franio.

— Właśnie że i Kalisz także — ja wiem doskonale, bo niedawno powtarzaliśmy rzeki.

— No, powiedzcież mi na pewno, proszę was, moi drodzy, bo ja mam wpisać na mapie.

— Zaraz popatrzę w geografii, bo mi się to jakoś zbałamuciło — rzekł Franio, sięgając po książkę.

— Ale po co masz patrzeć, kiedy ja wiem z pewnością! Pisz Andziu, nad Wartą — ja ci daję słowo honoru, że to Warta! — I Boles stanął w pośrodku pokoju cały zaczerwieniony z oburzenia, że nie dowierzano jego geograficznemu wiadomościom.

W tej chwili ojciec otworzył drzwi od swego gabinetu i zatrzymał się w progu pokoju.

— Twoje „słowo honoru“ Bolciu widoocznie nie wiele warte, kiedy go sam nie cenisz i szafujesz niem za lada drobnostką, nawet nie będąc pewnym rzeczy, za którą ręczysz — rzekł poważnie, patrząc na młodszego syna.

— Ależ mój ojczu, kiedy ja wiem dobrze — jakżeż ją inaczej przekonam.

— Najpierw tym razem wiadomości twoje są zupełnie mylnie; Kalisz leży nad Prosną, a nie nad Wartą.

— Czy być może? Mnie się zdawało, że z największą pewnością nad Wartą; słowo daję, że nam pan profesor mówił... zaczął, czer-

wieniać się aż po uszy Beles, ale ojciec przerwał mu surowym głosem:

— Cicho bądź; znowu chcesz dawać słowo na rzecz wątpliwą, a raczej tym razem zupełnie nieprawdziwą. — Mniejsza o to, że zapomniałeś nad jaką rzeką leży Kalisz, ale to gorsza, że ja mojemu synowi nie będę mógł nigdy wierzyć i liczyć na prawdę słowa jego.

— Mnie ojcie, dlaczego? Przecież ja nigdy nie kłamię; jak mamę kocham, że jeszcze jak żyję, nie powiedziałem umyślnie żadnej nieprawdy.

— Być może, ale za to bardzo często mijasz się z prawdą przypadkiem, przez roztrągnięcie — a co czyni błąd twój większym, że za każdym razem jesteś gotów ręczyć słowem za prawdziwość podawanych wiadomości, chociaż nieraz pewnie w duszy sam im ledwie dowierzasz. Czy rozumiesz, czem jest takie postępowanie? Człowiek, który daje słowo honoru, powinien się przedtem bardzo zastanowić, gdyż to znaczy, że daje w zastaw największy skarb swój: swoją uczciwość. Co się stanie z honorem takim, który bywa ofiarowany ludziom na poparcie rzeczy drobnych, niepewnych, lub zgola nieprawdziwych?

Milczenie zaległo w pokoju, Boles spuścił głowę, dotknięty do głębi słowami ojca. Bo trzeba wam wiedzieć, że honor stanowi właśnie najdrażliwszą stronę w jego sercu — wiedział, że dla każdego polaka honor jest rzeczą świętą i nie byłby chciał za nic w świecie mu uchybić. Jeżeli tak często dawał słowo honoru, to przyzwyczaił się do tego właśnie w przekonaniu, że to brzmi bardzo szlachetnie i poważnie.

Wzruszony zbliżył się do ojca i rzekł:

— Już więcej tego nie będzie, daję...

— Słowa nie dawaj, przerwał ojciec, kładąc mu rękę na ustach, — ale dotrzymaj obietnicy, a uwierzemy wszyscy, że swój honor cenisz. No, a teraz chodźmy na obiad, bo mama już zupę rozlewa.

Wszyscy udali się do stołowego pokoju; Boles postępował na końcu, zmieszany jeszcze i zmartwiony napomnieniem ojca. Widząc to Andzia, która swego braciszka nad wyraz kochała i dzieliła każdy jego smutek, zbliżyła się do niego i szepnęła:

— Nie martw się, mój Boleczku — ja bardzo twój honor cenię, chociaż się pomyliłeś co do tej rzeki.

Bolcio uściskał siostrę ale przedtem pomyślał sobie, że dziewczynki to nie są w sprawach honoru żadną wyrocznia. Gdyby tak tatko, a przynajmniej Franio powiedział mu, że ufa jego honorowi i uwierzy mu zawsze na słowo, to co innego — ale Andzia!

(D. n.)

FENIKS

i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Niech Feniks rozstrzygnie! — zaproponował Robert.

Dzieci poczęły gładzić ptaka, aż się obudził.

— Chcemy jechać w obce kraje — objaśnili go — a nie możemy się zgodzić dokąd?

— Niech dywan zaniesie nas gdzie sam chce — zawyrokował Feniks. Powiedzcie mu tylko, że chcecie jechać do obcych krajów.

Tak też uczynili i wydało im się, że ziemia się pod nimi kołysze, a zanim oprzytomnieli, byli już poza domem.

Poza domem! To jeszcze nie objaśnia, gdzie byli. Bo płynęli — płynęli lekko, śmiało, przez czyste, chłodne powietrze, mając nad głowami jasno niebieskie, bezchmurne niebo — a pod sobą białawe, błyszczące w słońcu fale morskie. Dywan zrobił się zupełnie sztywny, wyciągnął się w czworobok, twardy jak tratwa, a kierował się tak pięknie, trzymając się poziomo, że nikt nie obawiał się wypaść. Przed dziećmi ukazała się ziemia.

— To brzegi Francji — objaśnił Feniks, wskazując skrzydłem. Dokąd chcecie się dostać? Radziłbym naturalnie zachować jedno życzenie na wszelki wypadek, żeby nie wpaść w takie zdarzenia, z których niema wyjścia...

Ale dzieci były tak zajęte, że nie słuchały go wcale.

— Wiecie co? — odezwał się Cyryl. Niech nas dywan niesie, a gdy zobaczymy miejsce, które się nam spodoba... no! to się zatrzymamy. Czy to nie jest przyjemna jazda?

— Zupełnie jakby pociągiem kuryerskim! — zawołała Antea, gdy stanęli nad samym wybrzeżem, ponad pięknie uprawniami polami i szerokimi drogami, przy których rosły topole. Ale w wagonie nie można nic widzieć, bo starsi zamykają okna, a szyby potnieją i nie przez nie widać, więc wszyscy usypiają.

— Płyniemy jak ptaki! — dodał Robert.

— Ach! ty kochany Feniksie! — zawołała Kizia. To wszystko twoje dzieło!

— Niema o czem mówić! — odrzekł skromnie Feniks, ciągle senny.

— Patrzcie! patrzcie! — powtarzał zachwycony Cyryl.

Wszyscy patrzyli i rozmyśiali. Wstrzymywali oddech z zachwytu — i wzdychali ze wzruszenia i wołali: Och! och! — nie pomnąc, że już dawno minęła pora obiadu.

Dopiero Kizia powiedziała z nienacka:

— Szkoda, że nie zabraliśmy z sobą torciku z konfiturami i zimnej baraniny. Byłoby tak przyjemnie zjeść to w powietrzu...

Ale torcik z konfiturami i zimna baranina pozostały daleko, i leżały spokojnie w spiżarni. Tam w tej właśnie chwili mysz próbowała warstwy malinowej galarety, pokrywającej torcik, (wygryzłszy dziurę w wierzchniej warstwie ciasta) by zbadać, czy warto sprowadzić inne myszy na tę biesiadę...

— Zatrzymamy się, jak tylko upatrzymy jakie ładne miejsce — powiedziała Antea. Mam przy sobie trzy pensy, a wy chłopcy macie osiem pensów zaoszczędzonych na tramwajach a myślę, że nasze pensy Francuzi przyjmą. Spodziewam się też, że Feniks mówi po francusku...

Dywan płynął nad skałami, rzekami miastami, wsiami i polami. Wszystkim przypominał się ów dzień, kiedy im Psanmed udzielił skrzydeł i kiedy dostali się na wieżę kościelną, i jedli tam kurczęta ze spiżarni dozorecy, to przypomniało im jeszcze dobitniej, że są głodni. A kiedy o tem myśleli, zobaczyli ruiny jakiegos zameczyska na wzgórzu, i wielką, potężną, kwadratową basztę.

— Wierchołek tej wieży jest takiej samej wielkości, co nasz dywan — odezwała się Kizia. — Zdaje mi się, że najlepiej będzie spuścić się na tę wieżę, bo tam nikt nam nie odbierze dywanu. A jedno z nas może zejść i kupić co do jedzenia — kupić za pieniądze, nie zabrac przez okno ze spiżarni.

— A ja myślę, że lepiej będzie, jeżeli... — zaczęła Antea.

Ale Kizia uparła się.

— Ja nigdy nie mogę nic zrobić tak jak chcę, dlatego tylko, że jestem najmłodsza! A ja teraz właśnie chcę, żeby dywan opuścił się na wierchołek tej wieży pod nami!

Dywan podrzucił się gwałtownie, i zakotłował się nad wierchołkiem wieży, potem, powoli i ostrożnie, zaczął się spuszczać na dół...

(c. d. n.)

Zadania i łamigłówki.

Szarada.

uł. Wiktor J.

Mimo chęci me najszczęsze
Trudne *drugie*, co kto *pierwsze*
Lecz miejmy to na widoku
Cały bywa raz do roku.

REBUS.



Zadanie konikowe.

ułożyła *Julcia Gr.*

hop	prze
sko	mów
nie	az
	czysz

Rozwiązania do N-ru 8-go.

Arytmogryfu:

- I) A ndrzej J
- II) N iedziela A
- III) D ubli N
- IV) R omulu S
- V) Z ame K
- VI) E te R
- VII) J eżozwier Z
- VIII) K onwalj E
- IX) M ło T
- X) I gla U
- XI) C ału S
- XII) I rkuc K
- XIII) C ieszkowsk I

Pierwsze litery składają: Andrzej Kmicic,—ostatnie: Jan Skrzetuski.

Szarady: Lu — ty.

Zadania konikowe: Kiedy trwoga, to do Boga.

